

Jerzy Jarzębski

Quinta das Romazeiras

Wiadomość o pożarze, który pod koniec stycznia 2001 strawił dom Marii Danilewicz-Zielińskiej pod Lizboną, była jedną z najsmutniejszych wieści, jakie odebrałem po powrocie z Jerozolimy do Krakowa w lutym owego roku. W posiadłości autorki *Szkiców o literaturze emigracyjnej* spędziłem kilka dni na początku września roku poprzedniego, będąc zapewne ostatnim gościem, który mógł w jesiennym słońcu sfotografować tę prześliczną siedzibę.

Quinta das Romazeiras (Dom pod Granatowcem) – taką nazwę nosił ów dom z ogrodem, niegdyś rezydencja wiejska, zbudowana przez drugiego męża pani Danilewicz-Zielińskiej, Adama Zielińskiego, przedwojennego dyplomatę, prawnika i kolekcjonera, położona zaś przy drodze, którą przemierza autobus z Casilhas – przystani na południowym brzegu szerokiego ujścia Tagu do Atlantyku – do miejscowości Feijó, na skraju której znajduje się quinta. Przystanek autobusu, tuż przy murze okalającym posiadłość, nosi nazwę Gato Bravo, czyli „dziki kot” – i w zgodzie z tym mianem w quincie i w całej okolicy roi się od bezpańskich kotów, które bardzo chętnie zmieniają swój status na udomowione. Pani Maria mówiła coś o trzech kotach „legalnych” i dwóch „nielegalnych” (a może na odwrót?) – nie licząc maleńkich kociąt, które właśnie powiła jedna z kotek. Ale któż by je zliczył i rozpoznał, kiedy co rano i co wieczór wskakiwały przez okno do kuchni i zasiadały wokół miski!

Rozległy, parterowy dom otaczał gąszcz drzew i krzewów, częściowo zeschniętych po ubogim w deszcze lecie. Zamknąwszy oczy, można sobie było wyobrażać, że quinta leży gdzieś wśród pól, na stoku wzgó-

rza z widokiem na następne łagodne zbocze, pokryte krzakami i kępami ziół. Tak pewnie kiedyś było – teraz jednak Lizbona upomniała się o swoje: w bezpośrednim sąsiedztwie quinty powstał głęboki wykop, w którym skryła się autostrada prowadząca od wspaniałego, podobnego do Golden Gate Bridge, wiszącego mostu nad szerokim ujściem Tagu – na południe kraju. Za tym wykopem widać było nowoczesne osiedle mieszkaniowe, wciąż jeszcze w budowie, podpełzające swymi domami na odległość paruset metrów do posiadłości pani Marii. Czteromilionowa Lizbona rośnie jak na drożdżach i rozbudowuje się błyskawicznie, połykając okoliczne wsie i miasteczka. Niedługo otoczona murem posiadłość wchłonięta zostanie – tak czy tak – przez organizm miasta. Podczas mojej wizyty jej życiem rządził jednak jeszcze tradycyjny, nieco staroświecki rytuał.

Quinta budziła się co rano z chwilą, gdy stary Murzyn-ogrodnik, nazywany przez domowników „Cabo Verde”, bo pochodził z Zielonego Przylądka – otwierał zamczone, drewniane okiennice. Zapadała na pozór w sen, gdy ogrodnik okiennice wieczorem zamykał. W rzeczywistości jednak pani domu długo w noc jeszcze oglądała polską telewizję, czytała listy, czasopisma i książki. Przy swych dziewięćdziesięciu trzech (w czasie mej wizyty) latach pani Maria zachowywała niezwykłą wprost żywość umysłu i ciekawość wszystkiego, co nowe. Po dłuższej rozmowie o aktualnościach polskiego życia literackiego pani domu spojrzała na mnie nie bez pewnej kokieterii i powiedziała: – No co? Nie znać po mnie, że mieszkam na tej portugalskiej prowincji? – Rzeczywiście: nie znać! W wywiadzie, publikowanym w ostatnim po śmierci Jerzego Giedroycia numerze „Kultury”, Stanisław Beres jakby z pewnym wyrzutem pytał panią Marię, dlaczego odgradziła się praktycznie od portugalskiego życia kulturalnego, pozostając wciąż w domenie polskich spraw. Myślę, że inaczej się nie dało: że ten dom na uboczu był i tak fenomenem, odbijając w sobie do końca obrazy napływające wciąż z Polski i z polskiej diaspory. Na Portugalie i jej literackie sprawy tu już wprost nie starczyło miejsca, i trudno się zresztą dziwić, że pani Maria nie miała sił uczestniczyć w tej sferze życia.

Wiecznie młoda intelektualnie, pani Maria odczuwała jednak ciężar wieku, kiedy przychodziło jej poruszać się – nawet w obrębie domu. Niedługo po „Cabo Verde” pojawiała się więc w quincie portugalska służąca, która gotowała i sprzątała całą siedzibę. A było tam co sprzątać! Wnętrze domu zawierało dwa duże, połączone ze sobą pokoje, tworzące salon, poza tym sypialnię pani domu po prawej od wejścia, kuchnię, łazienkę i dwa pokoje gościnne. Sercem domu był niewątpliwie salon, pięknie urządzony i pełen pamiątek zapelniających ściany i półki. Dalej, w głębi drugiego pokoju znajdowało się biurko, a za nim regały, mieszczące bezcenny zbiór książek i dokumentów.

Pani tego domu należała ongiś do najważniejszych postaci londyńskiej emigracji literackiej. W przedwojennej Warszawie debiutowała jako badacz literatury, współpracowała z Gabrielem Korbutem, przyjaźnią darzył ją stary Wacław Berent, co opisała w pełnym ciepła wspomnieniu na kartach wydanego po wojnie dzieła zbiorowego *Straty kultury polskiej*. Początek wojny spędziła wraz z pierwszym mężem we Francji, w 1943 przedostała się do Londynu, gdzie była współtwórczynią i przez wiele lat kierowniczką Biblioteki Polskiej, jednego z najważniejszych ośrodków kultury polskiej na obczyźnie. Prócz tego była Maria Danilewiczowa przez 43 lata współpracownicą Karoliny Lanckorońskiej przy edycji roczników „Antemurale”, członkinią wielu towarzystw naukowych, stała współpracownicą „Wiadomości”, „Kultury”, radiostacji Głos Ameryki i Wolnej Europy, autorką wielu nowel i powieści, krytykiem literackim. Gdy było trzeba, pani Maria – jako dyplomowana bibliotekarka – umiała jednak również napisać dwa grube tomy bibliografii paryskiej „Kultury”. W Polsce znana jest przede wszystkim jako autorka *Szkiców o literaturze emigracyjnej*, wciąż chyba najlepszej książki poświęconej literaturze polskiej na obczyźnie. W roku 1969 została członkiem jury nagrody im. Kościelskich i przez wiele lat – aż niemal po kres życia – wspierała je: najpierw jako czynny, obecny na obradach w Genewie juror, a potem korespondencyjnie. W końcu lat dziewięćdziesiątych, poruszająca się z trudem, o dwóch laskach, pani Maria nie mogła już sobie pozwolić na opuszczanie domu – chyba że ktoś ją zawiózł samochodem. Pomagała jej ambasada

polska, posyłając czasem auto z szoferem, aby mogła przynajmniej pojechać na spacer lub coś załatwić. Sama gospodyni quinty w ostatnich latach zajmowała się głównie porządkowaniem swoich archiwaliów i staraniami o edycję krajową swej prozy i szkiców krytycznych.

Dlatego pożar, który strawił większą część zbiorów pani Marii, spowodował straty nie do odrobienia: spłonęły nie tylko wartościowe książki, ale też bezcenne dokumenty i korespondencja z wieloma kluczowymi postaciami polskiej emigracji. Dziś zatem każdy z czterech dni, które przemieszkiałem w Quincie das Romazeiras zdaje mi się dniem straconym, niespędzonym bowiem na studiowaniu tych dokumentów, których już albo nie ma, albo będą mogły być zrekonstruowane tylko po części – i dosłownie z popiołów.

Nigdy już nie wróciłem do quinty. Pani Maria próbowała tam jeszcze przez pewien czas mieszkać (spaliła się tylko ta część domu, która zawierała salon i gabinet, pozostała sypialnia, kuchnia, łazienka i pokoje gościnne, quinta więc mogła jakoś funkcjonować nadal i służyć swej gospodyni, choć odarta z tego, co w niej było najpiękniejsze). Kłopoty zdrowotne zmusiły jednak panią Marię do przeprowadzenia się na koniec z quinty do domu przyjaciół. Po paru latach, 22 maja 2003, zmarła – nie wiem przeto, kto dziś gospodaruje w jej domu. A może pochłonęły go już lizbońskie osiedla podmiejskie?

Kto inny napisze biografię twórczą Marii Danilewicz-Zielińskiej – od rodzinnego Włocławka przez wojenną tułaczkę, londyńską „pracę u podstaw”, po lizbońskie przedmieście. Mnie frapuje dzisiaj sam fenomen emigracyjnego losu pokolenia, które właśnie na naszych oczach odchodzi. Pani Maria była jego prominentnym członkiem. Pokolenie to nie przypominało w niczym wcześniejszej polskiej emigracji zarobkowej, opisywanej czy to w literaturze przez Konopnicką bądź – prowokacyjnie – przez Uniłowskiego, czy to w socjologii przez Znanieckiego i Thomasa. Polacy z emigracji wojennej często osiągnęli wysokie godności i niezły status materialny w społeczeństwach, które ich przyjmowały, ale jednocześnie z reguły pozostawali wierni ideałom polskości. Cechowała ich na tym polu zdecydowana pryncypialność, co oznaczało, że dużo wymagali zarówno od innych, jak i od samych

siebie. Powodowało to, że na wiele spraw i ludzi mieli poglądy inne niż Polacy w kraju: Gombrowicz ze swą dezynwolturą i bluźnierstwami przeciw narodowym świętościom nie cieszył się ich uznaniem. Nawet Bobkowski, co uświadomiła mi dopiero pani Maria, traktowany był przez londyńskich wychodźców jak „dekownik”, ponieważ ich zdaniem – zamiast z żony nieokupowanej wracać w roku 1940 do Paryża, do żony – powinien raczej zrobić wszystko, aby przedostać się do armii polskiej, organizującej się na nowo po francuskiej klęsce na wyspach brytyjskich.

Bibl. Jag.

Emigracja wojenna działała nie tylko na polach bitew, ale – od początku swej epopei na obczyźnie – prowadziła wyteżoną pracę na polu kultury i edukacji, dbała też o „zabezpieczanie śladów”, o przechowanie dla przyszłych pokoleń świadectw historycznych na temat zdarzeń, które w kraju bywały przez lata zakłamywane. Pozostawiła po sobie niezwykle cenne materiały, całą rozbudowaną dokumentację działalności, jaką prowadziła na polu kultury i polityki. Tylko część tych materiałów zgromadziły emigranckie instytucje, takie jak Biblioteka Polska w Paryżu, londyński POSK czy liczne instytuty naukowe w Europie i w Ameryce. Ogromna część tych zbiorów pozostaje wciąż w rękach prywatnych, a w wypadku bezpotomnej śmierci starych emigrantów zostaje często zniszczona lub rozproszona. Czasem zniszczenie przyjść może także – jak u pani Danilewicz-Zielińskiej – od płonącej główki, która wyskoczy z paleniska w kominku. Taki przypadek budzi refleksję na temat kruchości tych zbiorów, które zniszczyć dziś może byle zrządzenie losu.

Patrząc z tej perspektywy, inaczej zobaczymy Quintę das Romazeiras. Była – to prawda – po prostu domem jednej ze znanych emigracyjnych działaczek i autorek. Ale była także jednym z tych ważnych miejsc, gdzie skupiali się Polacy na obczyźnie, była siedzibą niezwykle przez okolicznych Portugalczyków szanowanego doktora Adama Zielińskiego, drugiego męża pani Marii, skarbnicą pamiątek i dokumentów, a wreszcie – po prostu pięknym miejscem, dziełem polskich rąk, jednym z węzłów wielkiej, rozciągającej się po całym świecie sieci, jaką była, i wciąż jeszcze jest, polska diaspora. Śmierć tego miejsca boli

w podobny sposób, jak boli śmierć jego gospodyni. Wraz ze zgaśnięciem wspaniałej, wiecznie młodej i intelektualnie aktywnej pani Marii, wraz z odejściem jej pamięci, przechowującej w sobie obrazy wielkiej przeszłości, wraz ze spopieleniem papierów i zniszczeniem domu, zatopionego w pełnym kwiatów i drzew ogrodzie, jest nas po prostu mniej, mniej o coś ważnego, czego się już nigdy odtworzyć nie da.

(Wspomnienie o jednej z członkiń jury Nagrody im. Kościelskich dedykuję tym młodym pisarzom, którzy się będą o tę nagrodę ubiegać w przyszłości.)